Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Konto czekowe Poczt. Kasy Oszczędności Nr. 151.496. **Cena N-ru 200 Mkp.**

Wydawn. ROK 54. KRAKÓW, DNIA 8. PAŹDZIERNIKA 1922. Nr. 41.

DJABEŁ

PRENUMERATĘ, LISTY, ARTYKUŁY NALEŻY NADSYŁAĆ POD ADRESEM: **WYDAWN. TYGODNIKA „DJABEŁ“ WŁADYSŁAW BABUCHOWSKI** KRAKÓW, ULICA NIECAŁA L. 4. PRENUMERATA W KRAKOWIE I NA PROWINCJI WRAZ Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ **MIESIĘCZNIE 800 Mkp.**

WYCHODZI CO SOBOTĘ.

TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

NOWA SPÓŁKA WYBORCZA.



Pod skrzydła D. U. P. kryją się Kapeki
Prosząc zmiłowania, matczynej opieki.
Dawniej żarli się z sobą, a dziś się miłują,

Bowiem miecz zawieszony nad głowami czują
Lecz losu nie dopędzi nawet i autem,
Kto wstał politycznem zerem i bankrutem.

OD WYDAWNICTWA. Z powodu olbrzymiego podniesienia kosztów druku i papieru podwyższamy prenumeratę i cenę pojedynczego egzemplarza na 200 Mkp.

Całoroczna prenumerata w Ameryce kosztuje 4 Dol.

Od Wydawnictwa.

Do Szanownych P. T. Prenumeratorów.

Upraszając o odnowienie prenumeraty za październik 1922 i wysłanie należytości dołączonym czekiem zawiadamiamy, że prenumerata Tygodnika „Djabeł“ wynosi wraz z przesyłką pocztową miesięcznie 800 Mkp.

Adres wydawnictwa tygodnika »DJABEŁ«:
Władysław Babuchowski, Kraków ul. Niecała L. 4.

WICEK SOCJALIK.



Od p. Wicka Socjalika otrzymujemy list następujący:

Wielmożny Panie Rydaktorze! Ni mogę dać moij psiokrew gwary do Djabła, jako że musiołem poknajać do Warsiawy jako delikat stronnictwa olejandrowego lo robienia kompromitacji[1]) ze stronnictwem saskokępskiem we Warsiawie, a to w cylu ułożynia list psiokrew państwowych do syjmu i synatu.

Donoszę ino tyle, co ugoda stanena jak drut. W kupie z saskokępcami zlaliśmy się w jedno psiokrew ciało, w jednom partyję, która sie psiokrew wabi P. O. S. R. (Partyja Oleandrowo-Saskokępska Robotnicza) abo stronnictwo „posrańców“. Z naszyj olejandrowyj strony na listę państwową do syjmu postawiliśmy:

Ferdka Hańbiarza,
Antka Makolągwę,
Siapsię Rosolisa,
Jędrka Moczymordę,
Mańkę Zwierzynieckom,
Felka Dyrdymałę,
Marjanka Illustrowanygo,
Pietrka Kosobuca — i
Kantka Piórkiewicza.

Na synatorów z naszyj psiokrew strony zaproponowaliśmy:

Wicka Socjalika,
Tomka Wybijoko,
Kaśkę Bagatelę,
Adamka Ryformowanygo,
Moszka Gayera (jun.),
Pietrka Wielgasa,
dwóch Nowaków — i
Staszka Miętołę.

Wielemożny Pan Rydaktur może psiokrew zaważuwać, co nasza partejność jezd jenszym psiokrew partejnościom pinkny przykład dająca, jako co nie postawiła ino psiokrew kandedatów z własnygo obozowiska, ale ostawiła na swyj liście najwinkszych mynżów jenkszych partejności. Jezdemy przy nadziei co ona psiokrew bezstronność zapewni naszym psiokrew listom morowe zwycinstwo.

Z szanowaniem
Wicek Socjalik
kandedat na senatura.

[1]) zapewne: kompromisu.

ZŁODZIEJ MA GŁOS.

Jestem uczciwy złodziej
Nie ten co w bobrach chodzi.

Za grandy i rozboje
Jużem odsiedział swoje.

Gdy nam się spółka zdarzy
Z takich jak ja grandziarzy —

Kradniem, jak w obyczaju,
Milcząc — o pracy dla kraju.

I nie pyskujem wiele,
Żeśmy obywatele.

Nie rosły mi tysiące
Na cukrze, ni na mące;

Bym przy węglu i drzewie
Kradł — nikt o tem nie wie.

Bom jest uczciwy złodziej,
Nie ten, co w bobrach chodzi.

Gdy mi się uda praca,
Mnie nędzarz nie wzbogaca.

Z ukradzionych pieniędzy
Nie zakładam czemprędzej

Hurtowni cukru, kawy,
By z nędzy drzeć grosz krwawy,

By mieć się potem za co
Społeczną zająć pracą.

Gdybym tak nizko runął —
Sam bym sobie w pysk plunął.

Nie staram się o urzędy
Aby łapówę brać wszędy,

Albo przez różne gałgaństwa
Okradać mocno skarb państwa.

Gdybym tak podle się zbiesił
Sam bym się pierwszy powiesił.

I posłem nigdy nie byłem
Z koncesyj, z Dojlid nie tyłem,

Bom jest uczciwy złodziej,
Nie ten, co w bobrach chodzi.

Nie jest to hańbą żadną,
Bo dzisiaj wszyscy kradną.

Kiedy mnie chyci za kołnirz,
Policjant jaki lub żołnirz

Nie krzyczę: gwałt! rozboje!
Jeno odsiedzę swoje.

Nie mówię dla mej obrony,
Żem dziedzicznie obciążony,

Że matka była warjatką,
Albo warjatem był tatko.

Bom jest uczciwy złodziej,
Nie ten, co w bobrach chodzi.

Nie rzeźnik ze mnie, co trzęsie,
Grosz z biednych na podłem mięsie.

Nie piekarz ze mnie co w spółce
Okrada biednych na bułce.

Nie restauracyjna hyena,
U której skacze wciąż cena.

Więc głoszę moim protestem,
Że taką świnią nie jestem.

Bom jest uczciwy złodziej,
Nie ten, co w bobrach chodzi.

OPOWIADANIE AUSTRALIJSKIE

Na brzegu rzeki Kreak-kreak siedzieli dwaj poszukiwacze złota: zbiegły bandyta Jim Frotter i murzyn Burbom. Byli to dwaj nierozłączeni przyjaciele.

— Przeklęty kraj! — warknął Jim, rzucając do rzeki grudką złota, którą znalazł przed chwilą w złotym piasku. — Ani jednej kobiety!... — A ja takbym się chciał ożenić!...

—Czyś już kiedy kochał? — zapytał go murzyn Burbom.

— Już bardzo dawno! — Była to indjanka, którą potem kiedyś zastałem w towarzystwie Ney'a Masters'a. Tak mnie to rozgniewało, iż zabiłem ich oboje, poczem ukradłem konia i uciekłem.

Spojrzał w dal i nagle podniósł się i krzyknął:

— A to co?!... Boże!... Wszak to, kobieta!... Tak, kobieta... Burbom, leć do niej... Powiedz jej, że ją kocham i tak dalej, i proponuję jej, aby została moją żoną. Jeżeli dobrze wywiążesz się z zadania, podaruję ci moje czerwone spodnie!

Burbom puścił się w kierunku kobiety z szybkością błyskawiczną, a tymczasem Jim wyjął z kieszeni garść złota, aby nim jednocześnie oszołomić wybrankę swego serca.

Burbom wkrótce wrócił, a na jego twarzy malowało się rozczarowanie.

— Co ona powiedziała?

— Ona powiedziała, że ja nie dostanę twoich czerwonych spodni. Tembardziej, że to nie była ona, lecz on.

— Co za on?

— Stary muł Paulins'a. Poczciwe zwierzę, aż się tu przybłąkało. A ty ślepa kuro, wziąłeś go za kobietę!...

I marzenia biednego Jima o szczęściu rodzinnem, prysły, jak bańka mydlana.

Rozrzucił z wściekłością swoje złoto, upadł na rozpaloną ziemię i zawył...

NOWE MODY.

Dawniej tylko w karnawale
Goły biust, ręce, ramiona
Widział, kto chodził na bale —
Dziś znikła wszelka zasłona,
A w dodatku gołe łydki
Ogląda mężczyzn ród brzydki!
Taka moda! Co w przyszłości
By nas wabić zobaczymy,
Gdy karnawał znów zagości,
Trudno zgadnąć? Lecz sądzimy,
Że chcąc wdzięki spotęgować,
Będą nago spacerować!

NA ULICY.

— Gdzie tak pędzisz?

— Do kościoła Kapucynów.

— Czegóż się więc tak spieszysz — kościół nie ucieknie.

— Ba! O 10 jest ślub Karola, a dziesiąta za minutę. Boję się, abym się nie spóźnił.

— Nie spiesz się, jego i tak już nie uratujesz, a sam jeszcze się zgubisz, boś gotów pójść za jego przykładem...

NASZE SŁUGI.

Pani. Co to jest Kasiu? Od pół godziny jakiś żołnierz chodzi przed domem i wciąż spogląda w nasze okna...

Służąca (dotknięta do żywego). I dopiero teraz pani mi o tem mówi?

ŚCISŁA INTERPRETACJA.

W pewnej miejscowości pogranicznej, którą obsadzało wojsko, wydano rozkaz, aby cywilnej ludności przez nią nie przepuszczać, z wyjątkiem gdyby przejeżdżał lekarz, felczer i akuszerka.

Nazajutrz warta zatrzymuje przejeżdżającego.

— Jestem lekarzem, — oświadcza — oto moje papiery... Wszak lekarzy przepuszczać kazano.

— No tak, lecz nie samych, tylko z felczerem i akuszerką.

POMYSŁOWY FACET.

— Czy mogę pani służyć parasolem?
— Przecież pan nie masz parasola...
— No, ale też i deszcz nie pada.

LXXX. LIST KACPRA KRUPY,
WSPÓŁPRACOWNIKA „DJABŁA" z LONDYNU.

Wielebna Redakcjo!

Brałem udział we wielkich manewrach we Francji. Manewry wypadły świetnie i z naszych sojuszników możemy być zadowoleni. Najważniejszą jednak rzeczą było, że po manewrach na moją cześć i cześć jenerała Sikorskiego komendant jeneralnego sztabu urządził wspaniałą ucztę. Na tej uczcie oprócz mnie byli marszałek Foch, jenerałowie Bast, Weygand i inni wojskowi dygnitarze. Ja wniosłem toast następujący:

Ci co naszymi są sojusznikami,
Co Niemców strasznie zerżnęli,
Niemców, co łączą się z bolszewikami.
Wiwat, niech żyją, aby się znów wzięli
Do prania Niemców i tak ich zeprali
By wiecznie ruski miesiąc pamiętali!

Toast mój wzbudził niekłamany entuzjazm. Po uczcie zgłosił się do mnie Lloyd Georgeon i oświadczył mi, że wobec tego, że pomiędzy Turkami i Grekami zaszły wielkie nieporozumienia i on przy tej sposobności bardzo się skompromitował, muszę jechać bezzwłocznie do Turcji, aby sprawę załagodzić, zwłaszcza że zachodzi obawa, że skutkiem zawikłań w Turcji i Grecji może znów powstać wojna europejska. Wzbraniałem się uczynić zadość życzeniu Lloyda Georgeona, ale jak mi oznajmił, że jeżeli turecko-grecką sprawę załagodzę, to postara się o to, aby nam bezwarunkowo Galicja Wschodnia została przyznaną, postanowiłem jego życzeniu zadość uczynić. Już kupiłem sobie turecką i grecką gramatykę i uczę się. Przy sposobności rozmowy z Lloydem Georgeonem, oznajmiłem mu jak barbarzyńsko obszedł się nasz sejm z urzędnikami. Llyd Georgeon aż płakał nad losem naszych urzędników, a żegnając się ze mną, wręczył mi pół franka dla urzędników, aby mogli sobie kupić bułkę i na zimę dać podzelować buty.

Z Turcji wkrótce napiszę.

Sługa
Kacper Krupa
Kawaler krakowskiej marki ewakuacyjnej Nr. 19780.

MONOLOG SCHMAJGEŁESA.

Już wibory są za drzwiami —
Sejm uzyska nową postać —
A ja, mówiąc między nami,
Chciałbym sobie posłem zostać.
Ja wigłaszam bez wahania
Bardzo jasne detailiczne,
Dla wiborców zapoznania
Moje credo polityczne:
Mnie o honury nie chodzi —
Honury to bagatele,
Lecz kto posłem sze narodzi,
To un ma korzyściów wiele:
Ma dyety bardzo ładne —
Jeździ darmo eisybahnem —
Prowadzi życie paradne —
Un jest sobie wielkim panem!
Różne ludzie proteguje
Na posady, co rozdają —
Za tymi zawsze głosuje,
Co za głos najwięcej dają!
Słowem, bez żadnej trudności,
Gdy jak ja zna posłowanie,
Geszeft zrobić jest w możności —
Milijardy zyskać w stanie!
Mnie najbardziej o to chodzi,
Że gdybym został wibranym —
Godność jedna drugą rodzi —
To zostałbym powołanym
Na wiceprezydenta miasta,
Który gościów wciąż przyjmuje,
Co przemowy ku nim chlasta,
Co ciągle z nimi ucztuje.
Bo czy przyjadą Szwedowie,
Czy Francuzy, czy Anglicy,
Hiszpany, czy Holendrowie,
Japończycy, czy Chińczycy
Wiceprezydent miastowy
Z nimi jada, co ma mocy —
Na ich cześć wygłasza mowy,
I wciąż pije w dzień i w nocy.
Proszę zatem uniżenie,
Bo ja chciałbym też ucztować —
Znając moje uzdolnienie,
Zechciejcie na mnie głosować!

Z TYGODNIA.

(Luźne kartki. — Feljeton składany.)

I. Wrażenie z sejmu.

Pierwszy raz znalazłem się w sejmie w przeddzień jego śmierci t. j. dnia 25 września.

Nie miałem do niego wielkiego nabożeństwa, ale bądź co bądź żywiłem pewnego rodzaju szacunek dla Izby Suwerennej.

Wszak ta Izba to rząd, właściwie nadrząd wskrzeszonej ojczyzny. Wszak ona decydowała o teraźniejszości i przyszłości naszej. Już w każdym razie być powinna emanacją ducha narodo-

wego, przedstawicielką jego dążeń, ideałów. Wszak to „sól“ nasza, wszak ją naród do rządu, do ustawodawstwa w każdej dziedzinie powołał. Ona wybiera naczelnika państwa. W jej ręku wojna lub pokój. To opiekunka i rozkazodawczyni wielkiego obszarem i ludnością państwa. Od niej zależą losy szerokich krain od Karpat po Bałtyk, od Odry po Dniestr i hen za Niemen...

Jest więc potężna — przed wolą jej skłonić się trzeba, powagę jej uznać należy...

Grzeszyła, bo grzeszyła, błądziła, bo błądziła— nie poskramiała podłej chciwości, pozwalała na wstrętne walki partyjne i osobiste, nieszczególnie gospodarowała — ale miewała i dobre chęci i dobre pomysły. „Zbierała“ ojczyznę, gruntowała podstawy prawa państwowego, ład wprowadzała, jednoczyła duchowo dawne rozbiory, dała państwu konstytucję, Lwowa broniła, Wilno uratowała, Śląsk przyciągała...

Tak, tak, bądź co bądź, choć stawiała fałszywe kroki, ale i położyła zasługi...

Więc z szacunkiem wstąpiłem w progi tego poważnego przybytku.

Z pokorą zasiadłem na galerji dziennikarskiej — otworzyłem oczy, wytężyłem słuch, aby widzieć mężów na czele narodu wyborem ziomków postawionych i napawać serce mądrością z nich płynącą...

Spoglądam, widzę w głębi na wzniesieniu siedzącego marszałka — niżej nieco pod boczną ścianą jakąś ławę, zapewne dla ministrów, — trybunę, na której stoi jakiś suweren, i jakąś wielką dziurę kwadratową, jakby podziemną, w której siedzą obok młodych panów jeszcze młodsze „panienki“ i zaciekle coś piszą, zapewne protokół. A pomiędzy marszałkiem, ławą ministrów, trybuną i panienkami wciąż biegają, skaczą po schodkach jacyś panowie, zapewne posłowie, sekretarze i urzędnicy sejmowi...

To izba... wyższa. A w niższej, w długiej kiszce zapełnionej fotelami, siedzą posłowie. Jest ich może ośmdziesięciu — reszta prawdopodobnie naradza się w kuloarach, lub pracuje w bufecie. Pierwsze trzy, cztery rzędy foteli gęsto „zaludnione“ — w dalszych rzędach pustki. Tu i owdzie siedzi grupka 5 lub 6 posłów, czasem tylko trzech lub czterech, a czasem jakiś samotność lubiący poseł obchodzi się bez sąsiedztwa. Na przodzie przed fotelami kilku suwerenów stoi i stać chce, żywo gestykulując, albo też chowając ręce do kieszeni od spodni, widocznie w obawie, aby im nie uciekły (ręce, nie spodnie).

A suweren na trybunie wciąż stoi. Widzę, że otwiera usta, głową rusza, ręką wymachuje. Prawdopodobnie „trzyma“ mowę, lub wygłasza jakiś referat. Lecz do uszu moich nie dochodzi ani jeden wyraz. Jakże ma dochodzić, kiedy i ta większa grupa posłów na przodzie i te małe grupki w tyle i ci stojący i stać chcący wiodą ze sobą nieustannie głośną rozmowę. Kto wie, może i ci samotność lubiący mówią sami do siebie, albo przez ławy, ustnym telefonem bez drutu przesyłają swą światłą opinję kolegom. Dość, że toczy się rozmowa ogólna, — powstaje z tego gwar taki jak w szkole na pauzie, lub w bóżnicy...

A pan na trybunie wciąż stoi, wciąż usta otwiera. Po co się męczy, niewiadomo, bo go nikt nie słucha. Mógłby spokojnie odmawiać głośno pacierz i byłby ten sam rezultat.

Wreszcie zbiera ze stołu jakieś papiery i schodzi z trybuny, a na jego miejscu ukazuje się inny jegomość. Gwar nieco ustaje, conajmniej obniża się do połowy liczba rozmawiających, a że nowy mówca obdarzony jest głosem donośnym, więc piąte przez dziesiąte można usłyszeć o co mu chodzi.

Nie podoba mu się ekspose finansowe p. ministra skarbu, nie jest zwolennikiem 8-procentowej markowo-frankowej pożyczki wewnętrznej, wolałby zaciągnąć pożyczkę zagraniczną, dla której p. minister skarbu niema serca. Wszystko to płynnie wypowiada, a raczej odczytuje, bo nieustannie patrzy w leżący przed nim rękopis.

Można się z nim zgadzać lub nie. Można być zewnętrznym pożyczkowiczem, lub wewnętrznym 8-procentowym. Odpowie mu ten „Jastrzębczyk“, który z kolei głos zabierze, a inaczej zapatruje się na rzeczy...

Tak sądzicie? E, nie. Podczas przemówienia co chwila odzywały się nieartykułowane wrzaski. „Kwiat narodu“ krzyczał i hałasował jak w karczmie...

Przykro było patrzeć i słuchać.

Wyszedłem zgorszony i upokorzony. Wstyd mi było za tych ojców narodu nie mających szacunku ani dla siebie, ani dla miejsca, w którem przebywają. I to mają być obrady poważnego, ba! najpoważniejszego ciała w narodzie. To nie obrady, ale burda.

Pierwszemu ze spotkanych zwierzyłem się z bolesnego wrażenia. A on na to:

— Ależ, panie, gorsze awantury bywały w parlamentach paryskim, wiedeńskim...

No, tak. Ale kiedy! Wtedy gdy walka szła na noże, wtedy gdy posłowie byli podnieceni, gdy wchodziły w grę wielkie sprawy i wielkie namiętności. Rozumiałem awantury o reformę rolną, awantury z powodu ostatniego przesilenia — ale burda przy dyskusji jaką zaciągnąć pożyczkę, to brak najprostszych pojęć o przyzwoitości, to dowód jak niekulturalnym żywiołom oddano w ręce losy państwa.

Pocieszajmy się tem, że będzie sejm nowy. Nowy — tak, ale czy lepszy? Czy owa ordynacja wyborcza, która de facto odbiera wolność głosu i przekonań, a oddaje wszystko grupom i grupkom karjerowiczów i agitatorów z pod ciemnej gwiazdy, może do lepszego składu sejm doprowadzić? Wszak to nie wybory, lecz nominacje nie najlepszych i najtęższych sił w społeczeństwie,

ale kilkunastu żądnych władzy prowodyrów i kilkuset ich (powiedzmy grzecznie) sympatyków, którzy im służyć będą za koncesyjki, posadki i wogóle za dopuszczenie do żłobu państwowego.

Z takich wyborów (?) wyjść muszą przeważnie tylko — wybiorki.

II. Odwiedziny.

Polski malarz Kulka miał w Paryżu mieszkającą z nim przyjaciółkę Ninetkę.

— A więc, — rzekła raz Ninetka, — sądzisz, że ten pan przyjdzie?

— Ależ napewno, — odpowiedział żywo Kulka, — Samuel, handlarz obrazów przyysiągł mi na to.

— Być może. A czy on kupi u ciebie jakie płótno?

Młody malarz z zadowoleniem powiódł wzrokiem po futurystycznych arcydziełach zawalających jego zbyt ciasną pracownię. Kulka wzruszył ramionami z miną zwycięską i zagwizdał wesołą piosenkę.

Ale Ninetka nie była przekonana. Swoim sądem mieszczki z Montmartre i węchem byłej modelki, przyzwyczajonej do kapryśnych stosunków handlu i sztuki, oceniała nader nizko amatorów. Zapytała swego przyjaciela:

— Czy bogaty jest przynajmniej?

— Bogaty? On?! Ależ moje dziecko, on zarobił kupę miljardów podczas wojny.

— A więc mój stary, on nie może wiedzieć, że tu porządna bryndza jest u nas!

I pokazała dziurawe krzesła, kulawe, stoły, dywan od siedmiorga boleści tego przypadkowego ogniska domowego. Po raz pierwszy Kulka zdał sobie sprawę z rzeczywistości i zaniepokoił się. Trzeba było zatrzymać tego amatora tak bogatego, tak bogatego i tak dobrze usposobionego dla młodego malarza. Ale jak go podbić, jak dać mu wrażenie, że inni amatrowie przychodzą tu codzień i rozbijają się o ostatnie produkcje artysty?

— O, — powiedziała nagle Ninetka — mam pomysł!

— Mów prędzej!

— Co jest dziś dla burżuja zbytkiem, zbytkiem rzadkim, zbytkiem oszałamiającym? Mieć służącą!

— Zwarjowałaś! Nie mamy na to środków!

— Nie chodzi o prawdziwą służącą. Ja mogę nią być, kiedy przyjdzie twój amator.

— Jakto? Chcesz...

— Czego nie uczyniłabym dla ciebie, moja Kuleczko?

Unosiła ją chęć poświęcenia dla wspólnej sprawy i przyjemność przebrania się, pewność, że będzie prześliczna w koronkowym czepeczku i fartuszku z bawecikiem. W godzinę później Ninetka spacerowała po pracowni, przemieniona w subretkę. I istotnie, była prześliczna.

Niestety, amator nie przyszedł ani tego dnia, ani nazajutrz. Wreszcie po czterech dniach oczekiwania Kulka wyszedł na miasto. Na to tylko czyhał los. Amator się zjawił. Był to gruby człowiek w średnim wieku, również okrągły, jak czerwony. Ninetka uśmiechnęła się do niego. Gość spytał:

— Czy pan Robert Lefebure jest w domu?

Przypomniała sobie wczas, że Kulka nie nazywał się teraz Kulką i odparła z pewnością siebie prawdziwej pokojowej:

— Nie, proszę pana, pana niema w domu. Ale pan polecił mi powiedzieć panu, że pracownia jest dla niego otwarta i jeżeli pan chce obejrzeć płótna w nieobecności pana pan odeśle panu te, które się panu spodobają.

Amator potoczył wzrokiem i bardzo onieśmielony, wszedł do pokoju i obszedł go powoli. Obecność Ninetki, postępującej obok niego widocznie go mieszała. Nie śmiał nic mówić, o nic pytać. Widać było, że nie był przyzwyczajonym do eleganckiego świata, ani do służby dobrze ułożonej. Nakoniec zatrzymał się na chybił trafił przed obrazem, na którym były natłoczone prostokąty i trójkąty. Nazywało się to: Tratwa Meduzy, a powinienby się nazywać: Ostatni kwadrat przeciwkątnej. Ale, jak wiadomo, amatorowie kubizmu, mało się zajmują etykietami. Ten wymamrotał:

— Kupuję to płótno.

Potem zwracając się do Ninetki — dodał, wciąż wywracając białka:

— Tylko, moje dziecko, trzeba samej je odnieść. Rozumiesz dobrze? Samej! Bez tego niema kupna!

Na progu posunął zuchwałość aż do tego stopnia, że pogłaskał końcami palców rumieniące się policzki Ninetki.

Kiedy Kulka dowiedział się tych szczegółów, wpadł w straszny gniew. Nie. Ninetka nie pójdzie. — Wolał stracić klijenta, niż przyjaciółkę. Ale ta, ostrożniejsza, dowiodła mu, że umie się bronić i że jej nie zjedzą. W kasie nie było pieniędzy. Sprzedaż tego obrazu podreperowałaby ich. Wreszcie Kulka musi mieć zaufanie do niej. Wszak wie, jak go kocha. Dość, że ustąpił, jak zwykle. Ale podczas nieobecności Ninetki przeżył najokrutniejsze chwile w swem życiu.

Wreszcie Ninetka wróciła. Złośliwy uśmiech oświecał jej twarz. Kulka rzucił się ku niej.

— No i co? — zapytał niespokojnie.

— Sprzedany! — odrzekła Ninetka, wyjmując z za gorsu paczkę niebieskich biletów.

— Nie o to chodzi! Odpowiedz prędko! Co ci powiedział? Coś odpowiedziała? Jestem pewien, że stary robił ci propozycje nieuczciwe.

— Przeciwnie, bardzo uczciwe. — Chciał mnie porwać!

— A widzisz!

— Nie tak, jak myślisz. Od sześciu miesięcy nie może dobrać sobie służącej i zaproponował mi miejsce u siebie. Pięćset franków miesięcznie, szklaneczko wina codzień i kino!

Z TEKI KORESPONDENTA.
(NADESŁANE)

Szanowna Redakcjo!

Mam do W. Panów żal ogromny! Wszak nadchodzi czas nowych wyborów do Sejmu i Senatu. W. Panowie jednak nie zgłosili dotąd u władz wyborczych ani jednej państwowej listy swoich kandydatów.

Ani „Wicek Socjalik" nie oświadczył się za swoimi politycznymi przyjaciółmi dotąd, ani Wasz londyński ambasador z Marjenbadu p. Krupa nic o tem nie pisze.

A szkoda wielka! Dużo głosów zyskałbym dla Waszej listy w Piotrkowie.

Podobno z Krakowa kandyduje do Sejmu J. W. P. Marjan D. z listy „Dziennikarzy". Proszę w tym kierunku o telegraficzną wiadomość, bo ta podana w „Kurjerku" notatka zakrawa na nieprawdopodobną i hiperboliczną kaczkę, czy gęś prasową. Gęś dobra na pieczyste — ale chyba nie w Sejmie. Tak — moi Panowie!

Poczyniwszy tedy zakupy, o których Wam w poprzednim numerze podałem wiadomości, poszliśmy na kolację do „Restauracji Mieszczańskiej przy ul. Florjańskiej l. 19". Zasmakowała mi tam ogromnie wódeczka. Pytam, skąd pochodzi? Odpowiadają, że z „Fabryki wódek i polskich likierów Szymczakowskiego i Ski. XIX/13". Nieszczęśliwa trzynastka — a sznapsik tak dobry. Zapisałem sobie tę firmę w notesie, by jej z Piotrkowa wysłać zlecenie na wysyłkę kilkunastu flaszek tego przedniego likworu.

Zmachany całodzienną peregrynacją po mieście postanowiłem sobie, że zaraz po kolacji pójdziemy spać. Tymczasem w „Djable" wyczytuję anons „Miodosytnia, założona w roku 1841. Kazimierza Robackiego w Krakowie ul. Sławkowska l. 26". Rozczuliłem się. Być w Krakowie — sercu Polski — a nie widzieć papieża! Przez św. Jana na Sławkowską niedaleko — chodźmy! Omszała buteleczka stanęła przed nami. Przypytało się tam do mnie kilku przebywających stale w Krakowie ekskrólewiaków.

Analiza polityczna przedwojennych stosunków pochłonęła z pół godzinki. Miód zrobił swoje. W miodowym humorze pożegnaliśmy się. Przypomniały mi się moje dawne **miodowe miesiące** małżeńskie. Nie wiem, czy mojej Malwińci także. Przy dzieciach nie wypadało mi ją o to wypytywać.

Położyliśmy się do snu w naszym hoteliku. Jakoś jednak usnąć nie mogłem. A że po dobrem jedzeniu i napitku szanuję literaturę wziąłem jeszcze na dobranoc „Djabła" do ręki. Przyszły mi przytem na myśl moje córeczki. Jak dorosną będą skazane na zamążpójście. Zamążpójście zaś bez wypraw odbyć się nie może. A sprawienie wypraw także nie da się pomyśleć bez kupców — bo któżby je ludziskom dostarczał. Zacząłem więc rozczytywać się w inseratach, gdzie i co na ten wypadek w Krakowie nabywaćby można.

A więc we firmie „M. Jakubowski, Kraków Sukiennice l. 26" zakupię platerowe zastawy jadalniane, u „Stanisławy Debelskiej przy ul. Florjańskiej l. 2" nabiorę potrzebną ilość towarów modnych i przyborów do szycia, u „Piotra Pałki, ul. Florjańska l. 26", zamówię piękne kołdry i — Panie — tego... zasnąłem.

Około północy poczułem silne szturknięcie w okolice krzyża i wrzask Malwinki: „Ty stary trutniu — chrapiesz — a lampki na szafce nocnej nie zgasiłeś".

„Ma rację" pomyślałem, skręciłem światło i pan Morfeusz zaraz ponownie chwycił mię w objęcia.

Przyjaźnie oddany

Pantaleon Przepiórkowski.
obywatel miasta Piotrkowa.

NADESŁANE.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 wiersz milimetr. jednoszpalt. Mkp. 40 — 1 wiersz milimetr. długości 25 mm w tekście Mkp. 60.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Babuchowski

Zakłady Graficzne E. i Dr. K. Koziańskich w Krakowie.